Rozmaitości

Dnia 3. Czerwca Nr 22. 1837 Roku.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

V.

Nazajutrz rano Ludwik wybiegł na wolne powietrze w pole. Rozmowa, którą wczoraj miał z panną Gordon, obudziła w nim najtajemniéjsze uczucia i myśli. Widząc jéj łzy niewinne, słysząc jéj wyrazy tchnące prostotą i religiją, odzyskał wszystkie wrażenia, jakich doświadczał w piérwszéj młodości. Jakżeż się nizkim ujrzał w porównaniu z tą nieskażoną duszą. Trudno znaleźć tak zepsute serce, aby widok istoty czystéj nie wzbudził w niém wyższych nad poziom uczuć. Cnota pogodna, taki sam na naszych moralnych wyobrażeniach sprawia skutek, co i widok belwederskiego Apolina na naszéj zewnętrznéj postawie; przez chęć naśladowania dusza nam się wznosi i przybiéra na siebie godność prawie niebiańską. Nigdy więcéj jak teraz nie żal było Ludwikowi jego przeszłości. Miłość Zofii budziła w nim tysiączne zgryzoty. Wiedziałaż ona komu się oddaje?... Ach! czemuż, czemuż zarobił na te wyrzuty? Więc to nie bajka, że w każdym, choćby najświetniejszym bycie przychodzi taki dzień, taka godzina, gdzie człowiek przekonywa się, że *szczęście* i *powinność* sąto dwa miana jednéj i téj saméj rzeczy. Jakże wtenczas wszystkie gasną uroki! jak najczystsze zatruwają się źródła! Nic już ulgi nie przynosi; westchnienia cię dławią, łzy palą. Na próżno wszystkie rodzaje uciech lejesz w swoje serce, nie zatrzymasz ich, bo uciekają jak z wiadra Danaid. Zorian tego doświadczył; samo szczęście stało się dla niego źródłem męczarni... Bez pamięci biegł w pole, chcąc utulić tę burzę. Nakoniec kiedy ból się przesilił, przypomnienia ucichły, powracał do Foxalu, gdzie się spodziéwał zastać Zofię. W ciągu drogi, powab okolicy, pamiątki historyczne téj ziemi, i nadzieja ujrzenia téj, którą ubóstwiał, rozpędziły tę chmurę smutku. Umysł jego łatwo przyjmujący wszelkie wrażenia, niebawem z rozpaczy przeszedł w swobodną wesołość. Mimochodem zaczął zrywać bławatki i dzikie róże na bukiet dla Zofii, i za każdym zerwanym kwiatkiem smutna myśl ulatywała mu z serca. Przynucając skocznego mazurka zbliżał się z utęsknieniem. U wystawy spostrzegł panią Bonar, z ową otyłą damą i kilkoma innémi matronami, które zdawały się składać jakiś walny sejmik. Nie mogąc je ominąć przyspieszył kroku, aby nie był zaczepiony; lecz zaledwo stanął na piérwszym wschodzie, pani Bonar wstrzymała go za ramię: »Panie Zorian,« rzekła, »była tu mowa o panu.«

»Nie zasłużyłem na tę łaskę.«

»Opowiadałam pańskie dzieje.«

»Jakto pani rozumiész...?«

»Oto tak, że wiém całą pańską przeszłość; nie spodziéwałeś się tego, nie prawdaż?«

»Pani,« rzekł Ludwik pomieszany, »to zapewne żart tylko...«

»Bynajmniéj. Wiém, żeś się urodził na Litwie pod Wilnem, żeś r. 1816 wszedł jako chirurg do służby wojskowéj w Królestwie, wiém i to, że koledzy nazywali cię pretendentem do korony, a to dla tego, iż lubiłeś marzyć o dumnych celach... Czy prawda co mówię?«

»Tak wszystko prawda, że aż muszę wiedzieć, zkąd masz pani te szczegóły.«

»Czekaj, to nie dość jeszcze; wiém, że nagle stałeś się majętnym, odziedziczając summy po stryju, którego nikt nie znał.«

»Pani! Pani!« zawołał Zorian, »zkąd ta wiadomość pochodzi? Jakażto inkwizycyja nade mną czuwa? Kto ci to odkrył pani? Powiédz, powiédz; jam powinien wiedziéć, ja muszę wiedziéć.« Pani Bonar przelękła się prawie.

»Mój Boże!« rzekła, »przecież nie miałam chęci pana rozgniewać, ani się wywiadywać szczegółów jego życia; lecz zapewne muszą tu być osoby, których to więcéj niż mnie obchodzi. Kawałek listu, znaleziony przypadkiem, odkrył mi to wszystko.«

»Masz go pani?«

»Oto jest.«

Zorian poznał list widziany wczoraj w ręku Zofii. Przebiegłszy go, dorozumiał się, iż był odpowiedzią na bardzo szczegółowe zapytania, czynione o jego osobie... Odkrycie to wzburzyło w nim wszystką krew i zapaliło gniewem. Myśl, że przeszłość jego, którą chciał przed całym światem ukrywać, była przez kogoś tak przetrząsaną, napawała go wściekłością. Nie mogąc potłumić tych wzruszeń, przebąknął coś do pani Bonar, niby uniewinniając się, i schowawszy list, wszedł do sali.

Zofija w oczekiwaniu, powitała uśmiéchem przybywającego; lecz Zorian przyszedł aż do okna, pod którém siedziała, i nie odpowiedział na ten uśmiéch.«

»O Boże! cóżto ci jest, Ludwiku?« zapytała z przerażeniem. Miasto odpowiedzi wyciągnął rękę z listem. Ona spojrzała nań, zarumieniła się i spuściła oczy. Zorian pomiął papiér i z gniewu przygryzł wargi.

»Są ludzie,« mówił, »tak roztropni, którzy dopóty nie otwiérają swego serca, aż się nie zapewnią o hypotece drugiéj strony i których miłość nie objawia się tylko na świadectwo dobrych obyczajów.«

»Ludwiku!« krzyknęła Zofija powstając.

Lecz jéj nie słuchał, i mówił daléj:

»Takie istoty nie wiedzą, iż kto nie ufa, ten pogardza; takie istoty wolą wierzyć komuś obcemu, niż człowiekowi, którego dusza całkiem do nich należy. Co sądzisz o takich ludziach, panno Gordon?«

Zofija spokojnie słuchała tych wyrazów; tylko za każdém jego słowem coraz większa okrywała ją bladość. Gdy skończył, z lekka położyła rękę na ramieniu młodzieńca, i niepewnym głosem, tyle w nim było stłumionéj boleści, rzekła: »Nie, ja do tego rodzaju istot nie należę, mój Ludwiku; wszakżem cię pokochała, nim jeszcze wiedziałam kto jesteś. List ten, który cię tak obraził, nie do mnie był pisany, ani jam piszącego wezwała. Czytając go, z radości łzy mi płynęły, bo tam była twoja pochwała, mogąca usunąć nie jednę przeszkodę. Bo i na cóżby mi się przydały szczegóły twojego życia? znałam cię lepiéj niż wszyscy, kochając cię taką miłością. Nie mogłam zaradzić téj ostrożności, co cię tak oburza; i prawda, jam winną, bo we mnie była przyczyna; jam winną, bo ty ciérpisz Ludwiku; tybyś mi błąd przebaczył, a nieszczęścia przebaczyć nie możesz?«

Wyrazy te wyrzeczone były z taką anielską słodyczą; w każdym jéj ruchu, głosie, wejrzeniu, malowała się prawda tak ujmująca prostotą, boleść tak szczéra, i że tak powiém skromna, że Ludwik tknięty był do żywego. Przed chwilą, w zapędzie gniewu zadaje jéj cios po ciosie, a to dziécię pokorne wyrzeka jedno słowo na obronę swéj niewinności, błaga przebaczenia, i on rozbrojony, oblany rumieńcem wstydu, bierze jéj rękę, przyciska do piersi i jak winowajca się spowiada:

»Prawda, prawda; jam szaleniec, tyś anioł Zofijo; nie bierz mi tego za złe. Ale ta myśl, że mi nie ufasz, uniosła mię za granicę rozsądku; daruj popędliwości. Kogoż tu winić, jeźli nie tego podejrzliwego starca; gdziekolwiek się obrócę, wszędzie zachodzi mi drogę.«

»Wstrzymaj się Ludwiku! nie sądź go tak porywczo; czekaj póki go lepiéj nie poznasz.«

»Czy może mam mu dziękować za przykrość, jaką mi wyrządził?«

»Ktożto wie, mój przyjacielu.«

»Nie rozumiém cię Zofijo.«

»Ja też nie chcę, abyś mię rozumiał; chcę tylko, abyś mi wierzył;« rzekła z nieporównaną słodyczą. Ludwik był zachwycony.

»Luby aniele, ty zawsze, zawsze masz słuszność, jam tylko szaleniec z mojémi urojeniami, ja kat na twoje serce. Ale kto jak ja nie nawykł do szczęścia, ten się z niém obchodzić nie umié, i w końcu choćby najpiękniéjszą dolę zepsuje. Przebacz mi. Czuję to, żem ciebie niegodny...«

»Dość już, dość,« przerwała wesoło Zofija, kładąc obie dłonie na ustach jego, które ucałował z zapałem; »przebaczam ci, ale nie grzesz już więcéj.«

Kochankowie usiedli obok siebie i wszczęli rozmowę niepodobną do opisania; wyrazy w niéj bez związku, co nic nie mówią, jesta co mówią wiele, poważne żarciki i pieszczotne dąsy, wszystko tam było. Zdaje się, że miłość ich podwoiła swą siłę; co zwykle następuje po kłótni kochanków. Wtedyto namiętność jak dziecko rozdąsane, któremu pogrożą i przebaczą, stara się tysiącem przymileń swój błąd naprawić. Zofija i Ludwik w dziecinnéj, uroczéj pogadance zaciérali pamięć chwilowego poróżnienia. Przez sny, spomnienia, poufałości, westchnienia, śmiéchy, otwiérały się przed sobą te dwa serca, pod inną coraz postacyją jak w kalejdoskopie. Aż w końcu rozmowa przyszła na to: które z nich kocha lepiéj, czy on ją, czy ona jego? Zwykły spór kochanków, wiecznie wszczynany, nie roztrzygnięty nigdy.

»Więcéj kocham niż ty, bom ci więcéj dłużny,« mówił Zorian, bawiąc się ze szarfą Zofii.

»Szczęście jest największym długiem; a tyś mię uszczęśliwił.«

»Kocham w tobie twoję słodycz, twój rozum, wyraz twych oczu, twój głos, ale ty, cóż we mnie możesz kochać?«

»Twoję miłość.«

»Ach! kochaj tę miłość Zofio,« zawołał młodzieniec, »kochaj ją, jestto jedyny skarb, który pewnie nie stracę. Dobrze mówisz aniele, kochaj mą miłość, bo jest tak ogromną, bo najpiérwszą, jakiéj w życiu doznałem.«

»Najpiérwszą,« powtórzyła Zofija wstrząsając głową; a przecież na ręce twéj widzę pierścień, zapewne zadatek jakiéj przysięgi.«

»Ten pierścień? o! nie bądź oń zazdrośną; gdy już stracę nadzieję posiadania ciebie, on mi się o inną postara narzeczonę; wtedy niewierność moja nie zrani twego serca: *bo cień mój błądzić będzie na skrzydłach wiatrów, okryty ciemnym obłokiem.*«

»To coś zbyt tajemniczego dla mnie.«

»Lepiéj, że nie rozumiesz; to fraszki! ze mnie taki marzyciel! Ot, mówmy o czém weselszém; mówmy o naszém przywiązaniu, bom ja nie słyszał od ciebie, czy mnie na wieki chcesz kochać?«

»Niepoczciwy!« powtarzała Zofija niby zachmurzona.

»Niepoczciwy... to znaczy, że cię kocham cokolwiek; czy tak? Z tém wszystkiém, pani zbyt dobrze jesteś wychowaną, abyś mię odważyła się kochać w obliczu świata; kiedy nas więcéj jest w gronie, a ja wzrokiem chcę z tobą rozmawiać, wtedy spuszczasz w dół oczy jak pensyjonarka, i z długich rzęsów tworzysz niby zasłonę dla serca. W waszym salonowym języku, jeżli się nie mylę, dają temu miano przyzwoitości, lecz w słowniku, piękna moja pani, po prostu stoi: obłuda.«

Zofija oburzyła się.

»Obłuda, mój aniele,« powtarzał Ludwik z uśmiéchem, »i jeszcze jaka nieloiczna obłuda; czemuż ukrywać miłość, kiedy się nie ukrywa przyjaźni? Do Korybuta uśmiéchasz się otwarcie, do mnie nigdy; jemu wszystko pozwalasz, mnie nic.«

»Cóż mu takiego pozwalam?«

»Tysiąc rzeczy mógłbym naliczyć; na przykład: tę szarfę, którą trzymam, on ci darował; czyżbyś nosiła jaki dar ode mnie?«

»Co za różnica!«

»Żadnéj tu nie widzę. Dla czegoż nie mógłbym doświadczać téj, co on radości? Pozwól, abym ci mógł ofiarować sprzączkę do téj szarfy; każdą razą, ujrzawszy ją na tobie, pomyślę, że pamiętasz o mnie.«

»Poźniej, poźniéj,« odrzekła, gotowa uledz jego prośbie.

»Przyszlę ci ją dziś wieczór,« rzekł Ludwik.

Ktoś obcy wszedł do sali.

W godzinę potém Zorian przewracał w podróżnéj swojéj toalecie, i wydobył z niéj prześliczną kameę, którą Zofija wkrótce odebrała z bilecikiem mieszczącym te wyrazy: »Jestto klejnot familijny, należał do nieboszczki méj matki, która ofiaruje go swéj córce.«

Zorian dobrze przewidział, bilecik ten rozproszył ostatnie skrupuły dziewicy; bo kiedy wieczór przeszedł do sali, gdzie było całe towarzystwo kąpiące się, spostrzegł pannę Gordon, oraz i kameę spinającą jéj szarfę. Ludwik podziękował spojrzeniem, malującém wdzięczność i miłość.

W téj chwili wszedł Korybut. Pozdrowiwszy gości, zbliżył się do Zofii, a nachyliwszy się do niéj, w chęci powiedzenia czegoś, wzrok jego padł na sprzączkę, i zawisł na niéj.

»Co ci to przyjacielu?« zapytała Zofija zdziwiona.

»Nie widziałem u ciebie takiéj sprzączki;« rzekł wskazując na nią. Zofija zmieszała się.

»Jak dawno ją masz?«

»Dziś dostałam.«

Starzec zaczął się jéj przypatrywać uważnie.

»Gdzieś ją kupiła?«

»Nie kupiłam jéj...« mówiła z cicha nie śmiejąc podnieść oczu. Korybut okazał podziwienie.

»Więc ci ją darowano?«

Zofija nie odpowiedziała. Starzec tém nie zadowolony, chciał jéj robić wyrzuty, lecz czując, że ani pora, ni miejsce po temu, rzekł:

»Potém o tém, a teraz na chwilę pozwól mi oglądać kameę.«

Zofija drżąca odpięła sprzączkę i dała ją starcowi, który jéj przyglądał się z osobliwszą uwagą; nakoniec, jakby sobie coś przypomniał, położył palec na jednéj wypukłości, przycisnął, i kamea się otwarła. Starzec wykrzyknął; Zofija z przestrachem patrzyła na wszystko co robił.

»Nie mówił ci pan Zorian,« rzekł obracając się do niéj, »zkąd ma tę sprzączkę?«

»Jestto klejnot familijny dany mu od matki.«

»Czyto wiész od niego?«

»Od niego.«

Czoło starca zasępiło się. Odszedł od niéj przechadzając się wielkiemi kroki w głębi sali. Oczy jego padały często na Zoriana, który stojąc w oddaleniu, o niczém nie wiedział.

W téj chwili jakiś młody mężczyzna opowiadał okropne swoje przygody, doznane w podróży po Kaukazie. Korybut usłyszawszy je, zbliżył się do grona i rzekł:

»Nie tylko w Azyi, ale i w naszéj ucywilizowanéj Europie bardzo łatwo można być napadniętym i zabitym w podróży.«

»Może we Włoszech,« odparł opowiadający, »ale nie w naszym kraju, gdzie obyczaje są tak łagodne i gościnne.«

»Właśnie, że w naszym kraju, bo ja sam, nié ma temu lat dwanaście, byłem napadnięty i zamordowany.«

Kobiety wykrzyknęły z przestrachu i ciekawości.

»Wćpan zamordowany... jakimże sposobem?«

Całe grono skupiło się około Korybuta.

»Zdarzenie bardzo proste, chociaż dla mnie miało skutki nazbyt okropne. Wyjeżdżałem wtenczas za granicę w sprawie wielkiéj wagi, i wiozłem ze sobą 400,000 w papiérach. Przebiérając się przez lasy Świętokrzyskie chciałem odwiédzić ów sławny klasztor Benedyktynów i wcześnie na noc zajechałem do Słupi.«

Zorian, dotąd stojący na ustroniu i mało zważający na powieść starca, zadrżał na ostatnie jego wyrazy, i z wielką ciekawością zaczął nadsłuchiwać. Korybut, biorąc go często na oko, tak mówił daléj:

»Wziąwszy służącego ze sobą, puściłem się drogą do klasztoru. Szliśmy pod przykrą i krzemienistą górę, las coraz stawał się gęstszy i dzikszy, a noc zaskoczyła nas prędzéj niżem się spodziéwał. Ponure dokoła panowało milczenie, szum tylko wiatru oblatywał te bory. Widząc, że trudno mi będzie powrócić do miasteczka, zamierzyłem był noc przepędzić w klasztorze. Byliśmy w połowie drogi, gdy sługa mój, znający te strony, wskazał mi kamienną starożytną figurę, i dodał, że tu przed laty zabito jakiegoś podróżnego. Figura ta mocno wraziła się w méj pamięci. Zaledwieśmy ją ominęli, gdy nagle usłyszałem krzyk za sobą, i kogoś upadającego; poskoczyłem co żywo, lecz już nie wiém, co się stało daléj, bo czułem, że mi czaszkę strzaskano, i że się we krwi nurzałem.«

Słuchacze zgrozą byli przejęci. Korybut wpatrzył się w Zoriana, który ciągle stał na swojém miejscu, blady jak na łożu śmierci.

Starzec znowu zaczął: »W parę dni potém, odzyskawszy zmysły, dowiedziałem się od poczciwych zakonników, którzy mię tam znaleźli, iż mój służący nie żył, i że szkatułki z pieniędzmi i klejnotami, którą miał w schowaniu, nie znaleziono przy nim.«

»I nie odkryto złoczyńców?« spytało razem kilka osób.

»Daremne były wszystkie poszukiwania. Jednakże nigdy nie traciłem nadziei, albowiem w skradzionéj szkatułce były klejnoty łatwe do poznania, między innemi kamea, zupełnie do téj oto podobna.«

Starzec pokazał sprzączkę, którą miał w ręku. Już ją chciano oglądać, gdy w tém Zofija krzyknęła, a Zorian, oparty o ścianę, chwiał się i tracił przytomność.

»Co się mu stało? co się mu stało?« ozwano się ze wsząd.

Korybut powstał: »Odkryję tajemnicę...«

»Ojcze mój!...« krzyknęła Zofija rzucając się mu na piersi.

Starzec wstrzymał się i na poły omdlałą przyjął w ramiona. Lecz na ten krzyk wszyscy osłupieli; sam nawet zmartwiały Zorian słyszał go, jak widmo ruszył się z miejsca, odepchnął tych co go otaczali, a ujrzawszy starca, trzymającego swą córkę:

»To jéj ojciec! jéj ojciec!« powtarzał w obłąkaniu; »o Boże, to jéj ojciec!« i załamawszy dłonie, wybiegł ze sali.

VI.

Zofija dostała wielkiego ściśnienia serca i mdłości. Starania jakie w piérwszéj chwili musiał jéj nieść Korybut, oderwały go od wszelkiéj innéj myśli. Córka jego — tak ją odtąd nazywać będziemy — usnęła w swoim pokoju, a on, odszedłszy od niéj, przechadzał się głęboko zamyślony w pobocznéj izbie. W tém drzwi z lekka się uchyliły i Zorian stanął w progu. Starzec cofnął się o kilka kroków, niby ze zdziwienia, niby z obawy. W postawie młodzieńca tyle było nieśmiałości i pokory, że Korybut wstydził się tego piérwszego wrażenia.

»Zapewneś się panie nie spodziéwał mię tu widziéć,« rzekł Ludwik stłumionym głosem.

»W rzeczy saméj; mordercy zwykle są przezorniéjsi.«

»Ten przymiot znalazłby się i u mnie, gdybym był mordercą; przychodzę cię panie wywieść z tego błędu.«

Starzec skinieniem głowy okazał gotowość słuchania go.

»Ach panie!« mówił Ludwik, »nie bądź porywczy w sądzeniu; to co powiém, dość mię winnym czyni, abyś wszystkiemu dał wiarę. Z resztą, dowód, żem nie był wspólnikiem téj zbrodni, jest łatwy; w onczas kiedy się to stało byłem jeszcze uczniem na uniwersytecie w Wilnie; świadectwo szkolne z tych lat przekona.«

Starzec rzucił wzrok na podany sobie papiér.

»Zkądże pochodzi ta sprzączka?« zapytał, »zkąd taka zmiana na twojéj twarzy w czasie mego opowiadania? Widoczna, iż wiedziałeś o zbrodni, chociaż nie miałeś w niéj udziału.«

»Wiedziałem.«

»I dałeś ten klejnot pannie Gordon jako puściznę po familii — a zatém familiję twoję obwiniać muszę?« Zorian jęknął boleśnie; starzec nasuwał mu usprawiedliwienie się, o jakiém nawet nie myślał... ale się wstydził takiéj obrony.

»Nie, nie!« zawołał, »rodzina moja słynęła z poczciwości, i była poczciwą.«

»Nieszczęśliwy! jakimże sposobem należałeś do zbrodni?«

»Odziedziczyłem ją; i oto błąd mój. Słuchaj mię panie... minuty są drogie, nie mam żadnéj do stracenia.«

Starzec go słuchał, a on opowiadał cały wypadek, kiedy był chirurgiem w Zamościu; jak z opisania Wataszki trafił na oną figurę pod Stym Krzyżem, jak skarb wydobył, a skończywszy długie to wyznanie, podał starcowi własną jego szkatułkę.

»Cztérykroć sto tysięcy są umieszczone na banku; to pismo nada ci panie moc odebrania téj summy. W szkatulce znajdziesz wszystkie klejnoty.«

Korybut przejrzał uważnie i przekonał się, że stratę odbiérał w całości.

»Mości panie,« mówił do niego z niejakiém pomieszaniem, »powieść twoja tak jest osobliwa, powrót do téj summy tak niespodziéwany, że sam nie wiém, czy mu dziękować, czy robić wyrzuty. Z tém wszystkiém wielki błąd popełniłeś...«

»Błąd!« przerwał Ludwik z gorzkim uśmiéchem, »raczéj zbrodnię. Och! nie chcę bynajmniéj ubarwiać prawdy pięknémi słowy. Po wyznaniu owego więźnia czas niejaki walczyłem ze sobą, lecz bez skutku, k r w a w y ten s k a r b ciągle mi stał na oczach. Co nocy we śnie widziałem figurę pod górą Świętokrzyską i szkatułkę z pieniędzmi. Kiedy który z moich przełożonych w dumie swojéj zaledwie mi odpowiadał na ukłon, kiedy ozdobny pojazd spotykał mię brnącego po błocie ulicznym, kiedy wystrojona kobiéta bez spojrzenia mijała mię ubogiego chirurga, wtedy odzywał się do mnie głos wewnętrzny, głos kuszącego szatana: Idź, szukaj skarbu! Tam znajdziesz wszystko, i uprzejme ukłony, i ozdobne powozy, i kobiét uśmiéchy! — Aby się stać bogatym, dość mi było uderzyć laską w skałę, a strumień złota by popłynął; a na to ani trzeba było zabijać, ani zaprzedać duszy, tylko po prostu krew przez kogo innego wylaną obetrzéć ze skarbu, i zabrać jak puściznę. Uległem pokusie. Z utratą ubóstwa straciłem pokój sumienia; co chwila zdawało mi się, że coś do mnie wołało: Oddaj, co skradłeś... Trucizna była mi nieodstępną towarzyszką; postanowiłem nie przeżyć, gdybym został odkryty.«

Zorian przestał mówić; od kilku chwil widać po nim było, że ciérpiał ból wewnętrzny, bo rękę często przykładał do piersi. Po krótkiéj przerwie tak znowu zaczął:

»Ale cóż ciebie panie te wszystkie szczegóły obchodzą. Moje pokusy, moje walki i męczarnie tylko mnie samego obchodzić mogą; przebacz, żem cię znudził — oddalam się.«

Dwa kroki postąpił ku drzwiom i zatrzymał się, jakby czegoś pragnął, o co prosić nie śmiał.

»Już się nie zobaczymy więcéj,« rzekł głosem przerywanym ze spuszczonémi oczyma; »pożegnanie moje jest ostatnie, jak umiérającego... chciałem... spodziéwałem się jeszcze kogoś pożegnać... och! oby jedno j é j spojrzenie... oby głos jéj usłyszéć!... i umrzéć...«

Stanął i wpatrzył się w starca; lecz ten miał wzrok spuszczony.

»Rozumiém,« rzekł Ludwik z rozpaczą, »uznajesz mię niegodnym téj ostatniéj łaski; użalać się nie mam prawa, ten tylko kto wolny od skazy może wymagać litości...«

Skłonił się i już zabiérał się do wyjścia, gdy Zofija wbiegła do pokoju. Cała w bieli, z włosem rozpuszczonym na ramiona, z oczyma pałającémi ogniem gorączki. Zorian spostrzegłszy ją, nie mógł przytłumić jęku; kochankowie stali na przeciw siebie w osłupieniu.

Korybut poskoczył ku swéj córce: »Czego tu chcesz Zofijo?« zawołał porywczo: »ustąp, ustąp!«

»Ach! panie... nie broń mi téj smutnéj i ostatniéj rozkoszy!« rzekł Zorian tak czule, że dziewica rozpłynęła się we łzach.

»O dzięki ci Zofijo za te łzy święte! dzięki ci, że cię oglądam...«

»Wszystko słyszałam, coś mówił,« mówiła łkając.

»Słyszałaś... pogardzasz nikczemnym!«

Za całą odpowiedź Zofija rzuciła się w jego ramiona. Zorian tak nie był do tego przygotowany, że na chwilę utracił przytomność pod

tym ogromem szczęścia. Przez kilka minut nie słychać było tylko łzy same, łkania, pieszczotne wyrazy, westchnienia, jęki... nakoniec zdawało się, że duch opuścił obojga, bo jak dwa posągi, bez ruchu, klęczeli przed sobą we wzajemnym uścisku.

Korybut, który oniemiały na ten widok, stał i patrzał z założonémi rękoma, w przebranéj cierpliwości pochwycił swą córkę gwałtownie i chciał ją wydrzéć z objęć Ludwika, lecz Zofija oparła się.

»Puść mię, mój ojcze; już do niego należę!« rzekła w szale obłąkania.

»Dziécię! odchodzisz od zmysłów.«

»Nie opuszczę go; do niego należę.«

»Mości panie,« rzekł starzec, »jeżeli ci życie miłe, puść tę nieszczęśliwą.«

»Słuchaj mój ojcze!« rzekła Zofija powstając, »pozwól mi iść za popędem serca. Nie zrobi to wstydu twemu świetnemu imieniowi, wszak plama na mém urodzeniu ciężąca, nigdy mi nie pozwalała nosić twego nazwiska!«

To rzekłszy, w uniesieniu rzuciła się na piersi Zoriana i ukryła na nich głowę swoje z rozpuszczonym włosem. Starzec nie zdołał się uhamować w gniewie, jedną ręką pochwycił swą córkę, a drugą podniósł z groźbą na Ludwika.

»Uspokój się panie,« rzekł Zorian z natężeniem, »nie obawiaj się, już ja nie przyjmę ofiary tego anioła, i przyjąć jéj nie mogę. Czy mniemasz, że ten, co nie chciał żyć ubogim, dziś zechce żyć ubogim i zhańbionym? Oddal swą córkę panie, moje chwile są już policzone... umiéram...«

Zofija skrzyknęła i w ramiona swoje przyjęła głowę młodzieńca. On podniósł ku niéj oczy, uśmiéchnął się, i znalazłszy serce dziewicy, położył przy niém swą zimną zdrętwiałą głowę.

L. S.

UWAGI PODRÓŻUJĄCEGO
O STANIE WIELU PAŃSTW
EUROPEJSKICH.
Przez Pawła Dercsényi.
(Dokończenie.)

Badając w jaki sposób tak nadzwyczajnie pomyślny byt w przeciągu lat 20 mógł być osiągnionym, znajdziemy pomiędzy materyjalnémi środkami dwie główne potęgi, to jest: obfitość węgli kamiennych i rozszérzone użytkowanie z siły pary.

Za pomocą téj siły teraz daleko taniéj jak dawniéj wydobywają węgle kamienne z kopalń, z których większa część ma 900 do 1400 stóp głębokości. (Z wyższych pokładów wydobywane węgle kamienne są z rzadkiemi wyjątkami we wszystkich krajach daleko pośledniejszéj jakości, niżli głęboko leżące.) Przy téj tak dalece uzyskanéj tanności tego najlepszego opałowego materyjału, produkowano tak tanio, za pomocą machin parowych, najrozmaitsze wyroby, że ich zużycie nadzwyczajnie się powiększyło, zkąd nastąpiło jeszcze większe pomnożenie, i rozszérzenie fabryk, handlu i przemysłu wszelkiego rodzaju. Zakładanie wybornych gościńców, kanały, statki parowe, znacznie przyspieszone rozsyłanie listów i ułatwianie podróżnym sposobności jak najprędszego dostania się z jednego miejsca w drugie, wszystko to szło w jednym czasie z innémi poprawami, i tym sposobem łatwo sobie wytłumaczyć można ów wystawiony wyżéj kwitnący stan Anglii, jak łatwo naprzód oznaczyć, że wynikające ztąd o wiele jeszcze prędsze związki handlowe, które najdaléj za lat kilka za pomocą kolei żelaznych we wszystkich kierunkach po całéj Anglii powstaną, sprawią w stosunku daleko rozleglejszą czynność przemysłową i daleko jeszcze większy byt dobry, a lubo i wtedy, równie jak teraz, mogą czasami ponawiać się przesilenia handlowe, nigdy one podstawy ludzkiego społeczeństwa nie wzruszą. — Te dotychczasowe pomyślne skutki nie mogłyby były jednak, mimo obfitości węgli kamiennych i rozgałęzionego użycia siły pary, stać się tak olbrzymiemi, gdyby angielska i szkocka ludność już od dawna nie była w ogóle stateczną, moralną, religijną, pilną i pod względem przemysłowym gruntownie wyuczoną, i gdyby kraje te od r. 1688 bez zaburzeń rewolucyjnych, były zagrażane pod względem wewnętrznego bezpieczeństwa. Nawet ludzie majętni otrzymują tam od piérwszéj młodości swojéj nie tylko ogólne teoryczne wychowanie, ale praktyczne także, ze wszystkiemi korzyściami stanu, któremu chcą się poświęcić, i wszyscy tak dalece przywykli tam do użytecznych zatrudnień, że lud angielski, chociaż czasami przez walkę stronnictw spowodowanym zostaje do odwiédzenia którego z publicznych politycznych zgromadzeń, po kilku godzinach wraca spokojnie do zwyczajnéj swojéj roboty. Majętniejsi zaś tak prędko zapominają najobelżywsze nawet miotane przeciw nim mowy przy ucztach, zwyczajnie wszelkie publiczne zgromadzenia kończących, że pamięć tych krasomowczych uniesień pozostaje li w kilku artykułach gazetowych, w których jedna z walczących partyj pod niebo je wznosi, a druga z błotem miesza.*)

Z trzech królestw Wielkiéj Brytanii (wyłączając Irlandyję, zostającą w innych stosunkach),

*) Większa część pism publicznych stałego lądu niezmiernie przezto w błąd wprowadza owę część czytającej publiczności, która bez roztrząsania ulega wszelkim jéj zasadom schlebiającym opiniom (a gdzież ta część publiczności najliczniejszą i najburzliwszą nie jest?), że mowom publicznym przy angielskich zgromadzeniach ludu, ucztach i t. p. większe nadaje znaczenie, jak one na to zasługują. Mowy te, aczkolwiek nie bez wyjątku, są ze wszech miar podobne do owych

dwa znalazłszy w najświetniejszym stanie, z równą, tylko prawdy szukającą bezstronnością zwróćmy się teraz do Francyi i uważmy, jakie kraj ten wielki, podobnież w ostatnich 20 latach zrobił postępy, w porównaniu z małémi, co do obrębu krajami, jakiemi jest Anglija i Szkocyja.

Francyja od r. 1796 do 1812 przebiegała od jednego do drugiego zwycięztwa i przewagą swoją, tudzież zaborami krajów innych wprowadziła w modę wyroby i wina francuzkie; przytém obcy przemysł nie tylko na miejscu gruntownie sobie przyswoić, ale także na swoję ziemię przeszczepić go umiała. Jeniusz Napoleona wpływając do wszystkiego, co się wewnętrznéj tyczyło administracyi, wspiérał we Francyi handel i przemysł, przyzwyczajał ludność do pracy i posłuszeństwa, budował kanały, gościńce i publiczne gmachy, z czynnością dotąd tam bezprzykładną i z równie bezprzykładnym skutkiem. Ale przemysł francuzki tylko w kulturze winogradu, w przyrządzaniu wina, wyrabianiu jedwabiu i fabrykacyi cukru z buraków przescignął inne kraje. W drugich nader ważnych gałęziach, jak np: w rolnictwie, Francyja w ogólności, w porównaniu z innémi krajami, na bardzo nizkim jeszcze pozostała stopniu. W miastach prowincyjonalnych i we włościach okazuje się we Francyi, z rzadkiemi wyjątkami, brak dobrego bytu i wygodnego życia, brak zamków, pięknych ogrodów i domów wiejskich. Kolei żelaznych nié ma prawie żadnych, oprócz krótkiéj koło Lugdunu, a zakładaniu nowych stawiają wszelkie, jakie tylko być mogą, przeszkody. Gościńce w miernym są stanie; publiczne powozy dla podróżnych, lubo w ostatnych latach znacznie ulepszone, zawsze jeszcze nie są ani dość czyste, ani wygodne; domy zajezdne (wyjąwszy w Paryżu i kilku miastach większych) są liche. Można przeto z wszelką twierdzić bezstronnością, że Francyja w ogóle nie zrobiła jeszcze takich postępów w dobrém mieniu, jakie jéj pracowitéj, przeszło 30.000.000 obejmującéj ludności, i tak nader sprzyjającemu między dwoma morzami położeniu, odpowiadaćby mogły. Przyczyna tego bardzo jasna; albowiem najlepsze siły narodu i rządu tak często od lat 50 odwracanémi były od wspiérania prawdziwego narodowego dobra. a zwracały się ku owym walkom politycznym, które to lub owo stronnictwo wznieść mogą, ale żadnego nieuszczęśliwią kraju.

baniek na wodzie, które powstają z kropel deszczu i z nim razem giną. Rozruchy angielskim podobne, gdzie indziéj na stałym lądzie wieleby nieszczęścia sprawić mogły, u Anglików zaś, którzy są w najwyższym stopniu flegmatycznego temperamentu, którzy mają wiele względności dla dawnych obyczajów i zwyczajów, i są chętnie ustawom posłuszni, u Anglików, mówię, rzeczy te daleko mniejsze mają znaczenie, niźli to wielu czytelnikom gazet stałego lądu wydawać się może.

O postępach Lombardyi, Czech i innych prowincyj monarchii austryjackiéj, równie jak o postępach państw niemieckich, mówić nie będziemy, jako o przedmiocie bliżéj nas będącym, a przeto więcéj znanym; tylko pod względem Prus zrobimy tę jeszcze uwagę, iż państwo to, powszechnie wiadome, szczęśliwe skutki swoje, winne po największéj części temu szczegółowi, że jego ludność za pomocą odpowiednego zamiarowi kształcenia się w szkołach, tak równie jest oświécona, jak jest przywykłą do skromnego życia, do porządku, spokojności politycznéj, ducha obywatelskiego i czynności.

Kto dla narodu swojego szczérze dobra pragnie, niech mianowicie te ostatnie zbawienne cnoty, ile można tylko rozszérza w około siebie, a jak dalece na to środki jego pozwalają, przyczyni się do uszczęśliwienia ludzkości!

Z Krakowa. W zamiarze uwielbienia spaniałomyślnéj opieki o wzrost akademii krakowskiéj Najjaśniej. Monarchów i najłaskawszych Protektorów, towarzystwo naukowe tutejsze z uniwersytetem Jagiellońskim połączone odbyło dnia 20. maja r. b. o godzinie 11téj rano w sali Jagiellońskiéj posiedzenie publiczne. które j. x. Wincenty Łańcucki, rektor uniwersytetu i prezes towarzystwa stosowną przemową zagaił. P. Fryderyk Skobel, med. i chir. doktor, prof. uniwersytetu, zamknął toż posiedzenie czytaniem rozprawy o teraźniejszym stanie patologii. (G.K.)

Z Wilna. Zwracamy raz jeszcze uwagę na nowe dzieło: *Literatura i krytyka*, pisma M. Gr., dwie części w jednym tomie, str. 281. Pod skromnym napisem: *Literatura i krytyka*, autor zapatrujący się z wysokiego stanowiska na swój przedmiot, rozwinął o nim tyle oryginalnych, sobie tylko właściwych pomysłów, że każdy, kogo literatura w ogólności, a mianowicie stan i wzrost nowszéj literatury obchodzą, znajdzie tu bogaty skarb nowych i głębokich postrzeżeń. Pojedyncze rozprawy w obu częściach mają następnjące tytuły: *O poezyi 19go wieku*; *Literatura francuzka*; *Domówienie*; *O pieśniach ukraińskich*; *Pieśni ukraińskie, wydane przez Maxymowicza*; *o elemencie poezyi ukraińskiéj w poezyi naszéj*; *Czy można mieć w dzisiejszych czasach epopeję swojską?* Samo wskazanie tresci rozpraw dostatecznem jest dla zwrócenia uwagi miłośników literatury na to ważne i świetne w pismiennictwie naszem zjawisko. (K.W.)

Z Warszawy. Nestor spiéwaków naszéj opery, *Jan Nep. Szczurowski*, doczekał chwili dla siebie zaszczytnej, ukończył bowiem lat 50 od wstąpienia na scenę, na któréj z wzorowym talentem i niezłomną gorliwością przez całe pół wieku słnżył publiczności. Jestto pierwszy przykład od początku istnienia naszego teatru, nawet ów pamiętny Wojciech Bogusławski nie był szczęśliwym doczekać się podobnego tryumfu. Jan Nep. Szczurowski, urodził się d. 16. maja r. 1771, uczył się muzyki przy dworze hr. Sierakowskiego w Krakowie, a w roku 16tym swego życia zaczął pracować na scenie tamże pod antrepryzą starosty Kluszewskiego. W Warszawie pierwszy raz ukazał się na scenie d. 23. kwietnia 1793, i odtąd należał do jéj ozdób jako piérwszy basista. Głos jego pełny, przyjemny, łatwo pokonywający wszelkie trudności muzyczne, nie opuszcza dotąd jego piersi, a miłośnicy oper przez lat 50 jednako cieszą się jego talentem, który prócz scenie, poświęca i chwale Boga, wykonywując w jego świątyniach spiewy religijne. Dyrekcyja rządowa

teatru, pragnąc uświetnić tę pamiątkę, przeznaczyła widowisko na dochód JP. Szczurowskiego. (K.W.)

Z Pragi. Wyszedł tu z arcybiskupiéj tłoczni dalszy ciąg *Słownika czesko-niemieckiego J. Jungmanna* t. III. zeszyt drugi, od słowa *platyna* do *popruchowy;* od str. 105 do 304. — Nie mniej wyszedł w b. r. z tłoczni Jana Sporneg dalszy ciąg *Sławiańskich starożytności* P. J. Szafarzyka, zeszytu IV. arkusz 31 — 40, od str. 481 do 640. — Wydano także w arcybiskup. tłoczni na b. r. zeszyt pierwszy dziesiatego rocznego biegu *Czasopisu dla katolickiego duchowieństwa,* st. 192. Ozdobiony na przodzie wizerunkiem głównego kościoła w Pradze Sgo Wita; rysow. Jan Maly, ryt. Fr. Rzehuła. *A.*

Karol Lipiński w Wiédniu. Znakomity wirtuoz ten dawał d. 21. maja, w wielkiéj sali redutowéj, trzecią i ostatnią akademiję. Był trzynaście razy przywoływany, co jest niesłychanym na wiédeńskich koncertach wypadkiem, i zdaje się, że zapał publiczności z każdym dla niego wzrasta koncertem, co znamionują rozbiory gry jego w dziennikach stolicy, nie mogące zadosyć wysłowić podziwienia swojego nad ową lekkością, z jaką największe pokonywując trudności, umié je oddawać z równą dokładnością, jak uczuciem. Lipiński grał tą razą cztery utwory muzyczne: pierwszą część koncertu z *fis moll* własnéj kompozycyi; *andante* z Mayerbeera: »Krzyżaka,« urządzone przez niego na skrzypce; *rondeau romantique,* także własnego utworu, a w końcu słyszane już na pierwszym koncercie waryjacyje na tema *Ecco ridente il cielo* z Rossiniego: »Cerulik sewilski.«

Ciekawe pamiętniki rossyjskie. Przy teraźniejszém, tak widoczném w płody jenijalne ubóstwie literatury rossyjskiéj, *pamiętniki panny Durow* wielkie w Rossyi robią wrażenie. Nieprzyjemne stosunki życia zmusiły pannę Durow w piętnastym roku przyjąć służbę w konnicy, pod przybraném imieniem Alexandrowa. Z całą armiją rossyjską odbyła wyprawy w latach od r. 1806 — 1807 i pamiętniéjsze jeszcze owe z lat 1813, 1814 i 1815, okazując nie w jednéj rozprawie z nieprzyjacielem osobistą odwagę i waleczność. Nareszcie odkryto płeć jéj. Ś. p. cesarz Alexander, dowiedziwszy się o tém, udzielił jéj łaskawego posłuchania, osypał najzaszczytniejszemi pochwałami, pozwolił nosić swoje nazwisko i własnoręcznie przypiął jéj krzyż wojskowy Ś. Jerzego. Po zawartym pokoju wzięła uwolnienie od służby w stopniu rotmistrza sztabu i z otrzymaniem dożywotnéj pensyi. Żyje teraz prywatnie w Petersburgu i publicznie w męzkich pokazuje się sukniach. Można sobie wyobrazić, jak dalece muszą być ciekawemi zawarte w 2ch tomach jéj pamiętniki, ponieważ ostatnia trzyletnia wyprawa rossyjska była tak obfitą w najważniejsze wypadki, w których płeć bohaterki zmuszała ją w wielu najdziwniejszych zostawać okolicznościach.

Rodzina jenerała Lafayette, zebrawszy pozostałe po nim papiéry, uporządkowała je i wydać zamyśla w 6 tomach, pod tytułem: *Memoires, correspendence et manuscrits du général Lafayette.* Jestto zbiór dający nam tegoczesnéj historyi najważniejsze wyjaśnienia.

Kapitan d'Urville, którego wyborna »Malownicza podróż około świata,« nie jednemu zapewne z czytelników naszych jest znaną, przedsiębierze na koszt rządu francuzkiego nową podróż około ziemi, która według wielkiego ułożona planu, znaczne dla nauk rokuje korzyści.

Włościanin Grange, który przed kilką laty tak głośnym stał się wynalezionym przez siebie pługiem, osiadł teraz w Monthoraux-sur-Saone, we Francyi, i ozdobiony jest orderem legii honorowéj, oraz zaszczycony szesnastu medalami, z których 8 ze złota, 6 z srebra, a dwa brązowe.

W Paryżu wydają codziennie 96.000 stęplowanych egzemplarzy gazet politycznych.

Woda jako najdawniejszy środek utrzymania zdrowia. Woda w stanie naturalnym jest najdawniejszym środkiem utrzymania zdrowia. Herodikus, żyjący r. 431 pr. n. Ch., zachwala ją nie tylko do dyjetetycznego, ale także do lekarskiego użytku. Pierwszy lekarz Melampus zastosował kąpiel do leczenia chorób, i za jéj pomocą, oraz dając zażywać ciemierzycę, wyleczył chore na umyśle córki Proteusza. Za czasów Pitagorasa używanie kąpieli stało się powszechniéjszém i on sam ją uczniom swoim zaleca. Gdy pod Peryklesem morowa zaraza grasowała w Atenach, któréj i ten bohater padł ofiarą, wielu ludzi rzucało się z rozpaczy do rzék i tym sposobem przychodziło do zdrowia, według świadectwa Tucydydesa. Hypokrates i Galenus mówią o używaniu zimnych łaźni, jako o rzeczy zupełnie zwyczajnéj. Sławny lekarz Asklepiades chwali skrapianie się zimną wodą; Celsus zaś (około r. 14 po Chr.) i Coelius Aurelianus (około r. 200 po Chr. żyjący) mienią wodę być nawet środkiem przedłużenia życia. Antonius Musa zimnemi kąpielami uratował życia cesarzowi Augustowi, chorującemu na gwałtowną kataralno-reumatyczną słabość, za co August lekarzy w Rzymie uprzywilejował. Poźniej, pod Neronem, używanie kąpieli nie tylko między znakomitemi osobami, ale także między prostym ludem tak dalece się upowszechniło, że się stało modą codzień się kąpać. Bogaci osobne łaźnie budować kazali, składające się z trzech gmachów, z których w każdym był inny stopień ciepła, dla uczynienia mniéj dotkliwém raptownego w zimną wodę wskakania. W jednym z tych gmachów rozbiérano się, w drugim namaszczano się pachnącemi olejkami, a w trzecim się dopiéro kąpano w przepysznych wannach marmurowych. Z tego powodu założono w Rzymie kilka łaźni publicznych i z wielkim zdobiono je przepychem, jak np: łaźnie Nerona, Dioklecyjana i innych, których szczątki dotąd się jeszcze dochowały. Tacyt pisze, iż dawni Germanowie nowonarodzone dzieci w zimnéj wodzie zanurzali. Podobnież kąpiel w zimnéj wodzie była także u narodów sławiańskich ogólnie używaną i uważali ją za powszechny środek ochronienia się od różnych słabości.

Odkrycie Ameryki przez Normanów. Król. duńskie towarzystwo nauk w Kopenhadze przygotowuje do druku dzieło, pod tytułem: *Antiquitates Americanae,* w którém z dokumentów dowodzi, że Normanowie ku końcowi X. stulecia Amerykę północną odkryli, w XI. i XII. często ją odwiédzali, i że od X. aż do XIV. wieku trwały tam ciągle podróże ze Skandynawii.

Hiszpańska próżność. Że próżność i duma hiszpańska aż za grób się nawet rozciąga, dowodzi następujące zdarzenie: Pewien Hiszpan, który w Rzymie w pojedynku zginął, prosił jak najmocniéj przyjaciela, będącego przy jego zgonie, ażeby tak, jak był ubrany, pochować go kazał. Przyjaciel przyrzekł to wprawdzie, ale uważając w tém jakąś szczególną tajemnicą, nie mógł tego przenieść na sobie, iżby przed pogrzebem nie kazał rozebrać i nie opatrzyć nieboszczyka. Cóż się pokazało? Oto, że nie miał — koszuli.

Emancypacyja kobiét. Kobiéty w Ameryce do coraz większego przychodzą znaczenia; nie dawno cztery młode damy mianowano tam magisterkami filozofii. Co większa, w Bostonie zawiązało się towarzystwo kobiét, które pod przewodnictwem pewnego bogobojnego księdza i tegoż żony, zamyślają odprawić pielgrzymkę po najznakomitszych miastach Europy i Wschodu. Może od dam Ameryki wyjdzie nowa wojna krzyżowa (krucyjata); zaiste, byłbyto prawdziwy krzyż dla mężczyzn!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*